Grass i obieranie cebuli



Günter Grass, 2004 r., fot. wikiepdia.

Romuald Mieczkowski

Obieranie cebuli bywa zajęciem często przykrym, pędzącym łzy. Udział kogoś w formacjach nazistowskich SS, kogo tak cenili i honorowali Polacy, to szczególnie bolesny dla nich cios. Dla Niemców też to bolesny przyczynek w ocenie zasad moralnych swoich elit. Choć mimo wszystko – jak to w życiu bywa – z perspektywy czasu wytłumaczalny, choćby lojalnością wobec swojej ojczyzny, mimo paskudnej formy służbie tejże ojczyźnie.

Nie wchodźmy w jałowe rozważania na temat: dlaczego na to wyznanie Günter Grass (autor m.in. „Blaszanego bębenka", red.) aż tyle lat czekał? – dziś, kiedy skandale zapewniają sukcesy komercyjne, niektórzy do nich wszak dążą. Ale pisarza, laureata Nagrody Nobla, niezłomnego bojownika o demokrację, niebywały sukces wydawniczy, chyba mniej cieszy. Tym bardziej, że do biednych nie należy.

Sprawa była bardzo szeroko komentowana w Polsce. Na Litwie – mniej, ale też nie pozostała bez echa. Wypowiedział się w tej kwestii w *Komentarzu pisarza* dla stacji radiowej „Žinių radijas" („Radio wiadomości") m.in. Valdas Kukulas. Przy okazji dostało się Wałęsie, za to, że nie poda ręki Grassowi, a którego to podczas pobytu w Wilnie *mania wielkości wszystkim pozostawiła największy psychologiczny osad* – stwierdził dziennikarz. Tymczasem *wszyscy, którzy widzieli Grassa, zachowają go w*

swej najświatlejszej pamięci.

Wałęsie, „narodowemu populiście” – rozważał dalej dziennikarz – daleko do intelektualisty światowej skali, dlatego był pewien, że noblista w tej trudnej sytuacji obdarzony jest wyrozumiałością.

Miałem okazję i ja rozmawiać w Wilnie z Grassem, ujął on i mnie swoją sympatią. I jeszcze jednym, czego zapewne nie doświadczył pisarz-komentator: otóż mieliśmy to samo zdanie w ocenie sytuacji i roli mniejszości narodowych, jak też spustoszenia, jakie przyniosła przymusowa migracja narodów, w ocenie losów – jak to niejednokrotnie mówił Grass wprost – „wypędzonych”. Nawet, pamiętam porównynał losy Gdańska do Wilna.

Ma rację Kukulas, że młodość jest częścią życiorysu, że mimo różnorakich interpretacji (tu powołuje się na sytuację na Litwie w czasie rządów Antanasa Smetony, ale trudno zrozumieć, co ma na myśli), fakty pozostają faktami. No, i – od siebie dodam – oczywiście, owe fakty składają się na wizerunek osób publicznych, szczególnie jeśli chcą uchodzić za autorytety moralne.

Wzorem wielkiego pisarza, mniej znany pisarz litewski wspaniałomyślnie przyznaje się do jednego, wstydliwego faktu i ze swojej biografii, dając pouczający przykład z własnego

dzieciństwa i wyciągając wnioski – otóż zdarzyło mu się kraść róże z „działki kolektywnej”, i to nie byle z kim, tylko z milicjantem, który miał pilnować terenu. Ale po tym Kukulas w życiu więcej nie kradł…

Przykład może to i bardzo literacki – wszak bardziej przemawiają do nas święci, co to grzeszyli, szczególnie za młodu, a potem się nawrócili. Ale jakoś nie bardzo przemawia skala porównań ułomności. Dobrowolne wcielenie „się” do struktur faszystowskich odróżniać należy też od przymusowego. Prawda, byli i tacy, którzy nie musząc robić coś dla swojej zagubionej ojczyzny, w odległych krajach, na ochotnika, brunatne mundury wkładali, a po latach, jak gdyby nigdy nic zostawali nierzadko owymi autorytetami moralnymi. Czyżby do nich kierował Kukulas swą konkluzję:

> Dobrze by było doczekać tej godziny, kiedy i litewscy politycy, działacze kultury zdecydują się otwarcie powiedzieć, kim i gdzie byli w młodości?

Wypowiedź pisarza przeczytałem w komputerze. Opinie czytelników (miejscami bardzo naiwne, miejscami wręcz chamskie) świadczą, jak nieznany to na Litwie, w społeczeństwie – sięgającym Internetu i pewnie młodym – temat. Przykre, że przy okazji natarczywie powiela ono znane stereotypy wobec

innych i w tej sytuacji „trzecich” nacji.

_____

Günter Grass zmarł w 2015 r. (red.).

Kasztan



Wilno, fot. Tadeusz Szostak.

Romuald Mieczkowski

Był dzieckiem, gdy matka zabierała go na spacery do Ogrodu Bernardyńskiego. Mieszkali nieopodal, przy ul. Popławskiej 16. Lubił zbierać kasztany. Podczas jednego ze spacerów, w 1937 roku, znalazł drzewko bez korzeni. Ojciec wątpił, czy młody kasztan przyjmie się. Matka mówiła: "Zobaczysz, on jeszcze nas przeżyje".

Drzewko na wiosnę zazieleniło się, a potem zaczęło pięknie wzrastać. Aż zakwitło, zabrązowiło się pierwszymi kasztanami. Ciesząc oko, zaglądając liściem do okna.

W 1945 roku rodzice mieli opuścić dom. Jakże nie chciało się jechać na jakieś Ziemie Odzyskane! Tu miał kolegów, swój świat, pełen krętych uliczek obok Safianik i Popławów, tajemniczo porośniętych brzegów Wilenki i równie tajemniczych zmierzchów wokół Trzykrzyskiej Góry. 17 maja całą rodziną poszli na nabożeństwo majowe do Kościoła Misjonarzy na Subocz. Nie bardzo rozumiał, dlaczego wszyscy sąsiedzi płakali, obejmowali się. W rozmowach szeptem powtarzano słowo: NKWD.

Przedtem matka wybrała się na rynek. Poszukiwała litewską rodzinę, która jej spodoba się, by przekazać dom w dobre ręce. Dla ludzi młodych i potrzebujących, którzy nie muszą gdzieś wyjeżdżać. W ten sposób na Popławską przybyła rodzina

Lukašunasów, “interes” został przypieczętowany dwoma butelkami bimbru. W domu sąsiadów – Kuszewskich, też pojawili się nieznajomi ludzie, i u Wróblewskich też.

Transportem nr 126 wyruszyli w nieznane. Wieźli swój dobytek, ograniczony do najniezbędniejszych rzeczy. Jechała też koza, jechała kura wysiadująca na jajkach. Po wielu dniach podróży, w okolicach Bydgoszczy, szczęśliwie wykluły się kurczaki. Nazwali je bydgoszczakami, choć ojciec kiwał w zadumie głową i mówił: “Jakież one bydgoszczaki, one wileńskie”.

Różnie toczyły się dzieje rodziny, ostatecznie znaleźli swą przystań życiową w Olsztynie. Poumierali rodzice – Józef Kujawa i Helena z Tyszkiewiczów. Wilno odwiedził po wielu latach, po przełamaniu oporów wewnętrznych, by potem do miasta swej młodości podążać częściej, a nawet zachłannie, jakby chciał oddychać tym powietrzem, oglądać te obłoki, dotykać klamek starych drzwi. Pokochał miasto znowu, miłością bezinteresowną i wielką, całym doświadczeniem przeżytych lat, niespełnionych marzeń, wydobywających się z sieci dalekiej niepamięci.

Niczym pod wpływem magnesu jego wędrówki wileńskie zaczynały się i kończyły przy ulicy Popławskiej. Nie ma tu już rodzinnego domu, ani domostw pani Nowackiej, Kuszewskich, Wróblewskich. Tak samo tylko toczy swe wartkie wody niezmordowana czasem Wilenka. Od Belmontu po Ostrą Bramę

zmieniono układ ulicy, obok zachowanych budynków dawnego Getta Żydowskiego.

Trudno było określić po latach, gdzie stał dom jego rodziny, gdyby nie kasztan, zasadzony dziecięcą ręką. Stary człowiek podchodzi, głaszcze drzewo, jak relikwie zbiera z trudem z ziemi kasztany. Czasem wydaje się, że Henryk słyszy głos matki: “Przeżyje on nas, przeżyje”.



Wileński kasztan, fot. Tadeusz Szostak.

Miłosz w Wilnie

oczekiwał cichego pobratymstwa



Marek Skwarnicki, fot. http://bookhaven.stanford.edu

Rozmowa Romualda Mieczkowskiego z Markiem Skwarnickim na temat przyjaźni z Czesławem Miłoszem

Romuald Mieczkowski: Niewiele osób może poszczycić się

tak bliskimi kontaktami z największymi osobistościami współczesności. Pozostańmy w kręgu literatury, prosiłbym opowiedzieć o przyjaźni z Czesławem Miłoszem.

Marek Skwarnicki: Przyjaźń z Miłoszem, rozwijała się nie tak od razu, narastała latami, zwłaszcza w krakowskim okresie poety, obejmującym ostatnich dziesięć lat jego życia i polegała również na bliskości wileńskiej. Prawda, ja nie urodziłem się w Wilnie, tylko w Grodnie, ale jak wiadomo – „czym skorupka za młodu nasiąknie…" – ciągle odkrywałem i teraz odkrywam w sobie ową kresowość, ja się czuję w Wilnie, jak w swoim miejscu. Ta swojskość wyraźnie była w Miłoszu. Żonę mam z Wilna, tu urodzoną, repatriantkę. Jej rodzina do Polski wyjechała chyba w 1946 roku. Poznałem ją w Toruniu, myślę, że zbliżyła nas owa kresowość, ponieważ taka była tradycja naszych domów. Umownie mówię „kresowość", mając na myśli historyczne rodowody naszych rodzin, nie tylko wileńskie. Czas, spędzony z Miłoszem, był dla nas poniekąd w sporej mierze przypomnieniem Wilna – ten gród tylko z pozoru był *miastem bez imienia*. Czytając te wiersze od razu człowiek wiedział, że chodzi w nich o Wilno. I chłonął ten klimat, który również z wielu jego wierszy płynie. I nie tylko z wierszy. Poddawałem się urokowi miłoszowskich wypraw w staropolskość, które on robił z wielkim porywem i sentymentalnością. Spotykam ją tutaj i teraz, podczas pobytu na Litwie, słuchając chociażby w czasie wycieczki do Szetejń chóru starszych pań z Kiejdan. Tak śpiewała moja

teściowa, tak grała na gitarze, jak jedna z tych pań. Spotkałem się więc ze zjawiskiem cofniętym kulturowo o ileś tam lat. I to jest ta pielęgnacja tradycji, jakie nie zachowały się już gdzie indziej. Ta rzewność urzeka nadal. Podobna rzewność była w twórczości Miłosza.

RM: Są tego przykłady. W rozmowach z Noblistą obecna więc była Litwa…

MS: I to w dużym stopniu. I przede wszystkim Wilno. Żona, jak pierwszy raz pojechała na Litwę i była w Szetejniach, to po wyjściu z autobusu zerwała z pobliskiego pola pąk kłosów żyta. Po powrocie do Krakowa wręczyła je Miłoszowi. I te kłosy potem u poety wisiały na ścianie, jako drogi symbol tych stron.

RM: Jak Czesław Miłosz oceniał po latach swoją ojczyznę?

MS: To był stosunek skomplikowany. Dlaczego, zrozumiałem to dopiero po rozmowach w Wilnie. Zrozumiałem, dlaczego Miłosz po pobycie w Wilnie był czymś zrażony. Nie śmiałem wtedy pytać, czym. Wiedziałem jednak, że coś go boli. Myślę, że poeta spodziewał się innego stosunku Litwinów do Polaków. Kiedy tu przybył, znany i pełen chwały, jemu wcale nie był potrzebny ten wielki entuzjazm, z jakim go witano, jemu potrzebne było ciche pobratymstwo Litwinów i Polaków.

RM: Czy o tym mówił?

MS: Unikał tego tematu, ale w jakichś postaciach on ciągle powracał. To był jego wielki dramat życiowy – czterdzieści lat przecież Miłosz żył w Ameryce, był – tak rzec można – człowiekiem świata, kultury uniwersalnej. Co by nie powiedzieć, Kraków jest pewną prowincją w stosunku do wielkich metropolii kulturalnych świata, w których bywał Miłosz i w których był honorowany, bo poza Noblem miał wiele innych nagród. Co napisał wiersz, to „New Yorker" mu drukował, swoje zrobił pobyt we Francji i współpraca z przedstawicielami tamtejszych kręgów kultury. To wszystko stawiało go w czołówce. Ale on jednak – co jest najistotniejsze – pozostawał bardzo prostolinijny, był „kresowo prosty" i oczekiwał, że do niego na Litwie równie z tą prostotą będą się odnosić. Tymczasem większość spotkań odbywało się na wysokim, oficjalnym poziomie państwowym, oczekiwano od Noblisty deklaracji politycznych. I dlatego czuł się urażony, bo on się wcale nie wywyższał.



Wilno, fot. pinterest

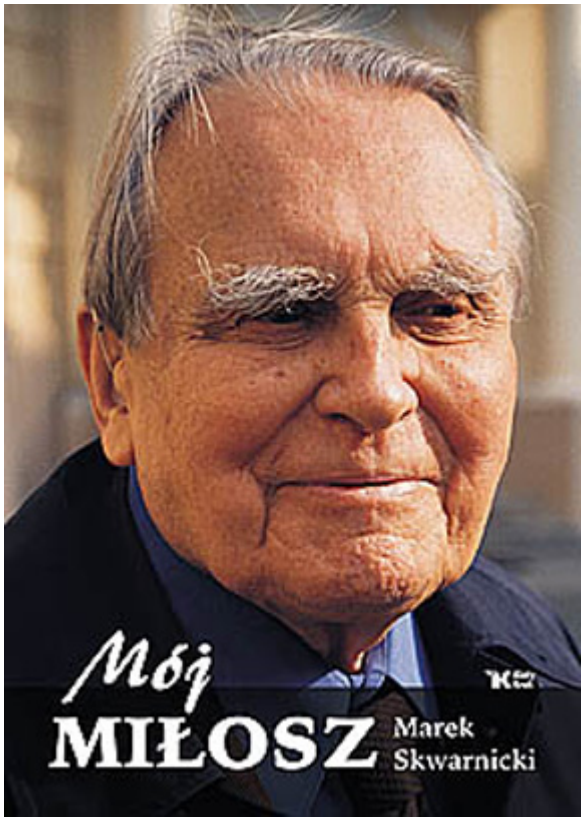
RM: A jakie refleksje nasuwają się Skwarnickim przy tym pobycie w mieście nad Wilią?

MS: W tej ocenie są różnice pomiędzy żoną i mną. Pierwsze, co zrobiła ona, to pojechała na Antokol, by zobaczyć miejsce, w którym się urodziła. Przystanęliśmy przed Filharmonią, gdzie wtedy mieściło się jej gimnazjum. Ja natomiast byłem w Wilnie dwa razy, pierwszy raz krótko, bo to była jednodniowa wycieczka. Tak naprawdę to nie był ten pierwszy raz, bo mnie, jako cztero- pięcioletnie dziecię, mama przywoziła z Grodna,

kiedy tu przyjeżdżała po modne ciuchy. Należała do oficerskiej rodziny, nie była to specjalnie majętna szlachta. I ja pamiętam tamte wyprawy. Ale dopiero podczas przyjazdu na „Maj nad Wilią” poczułem, czym jest Wilno. Zachwyca jego piękno architektoniczne, z unikalną pozostałością dawnych wieków, harmonię pomieszaną z nowymi zabudowaniami. Pobyt w Wilnie, które przecież we mnie istniało również jakoś poetycko, uświadamia pewną spójność pomiędzy naszymi narodami, może dlatego, że jesteśmy razem w Unii, że przed nami roztaczają się nowe możliwości. Trochę mnie razi jednak zamknięcie się Litwinów – ja się po świecie nieco nawłóczyłem, ale rzadko kiedy byłem tak odcięty kontaktowo, otóż trafiłem do dziwnego świata, w którym istnieje kultura europejska – choćby poprzez obecność gotyku, renesansu, baroku i innych stylów, a jednocześnie – taka zamknięta w sobie enklawa. Zdaję sobie sprawę, że Litwa jest malutka i chce zachować swą odrębność, ale większe otwarcie się wobec przybyszy z Polski na pewno by jej nie zaszkodziło. To nie powinno być źródłem żadnych kompleksów. Wielokulturowa spuścizna to majątek w kontekście coraz bardziej powszechnej kultury masowej Europy, zaś spotkanie terenów z tak pielęgnowaną własną tożsamością i odrębnością bywa wielkim przeżyciem.

Marek Skwarnicki opisał historię swojej przyjaźni z Czesławem Miłoszem w książce „Mój Miłosz”, wyd. Biały Kruk, Kraków 2004 r.

O skiążce od wydawcy:



Wspomnienia doprowadzone do ostatnich dni życia Noblisty. Z listów i rozmów, które obejmują niemal pół wieku, wyłania się Miłosz znacznie ciekawszy niż z bardziej lub mniej przychylnych opracowań i biogramów. Korespondencja i osobiste spotkania mówią o nim być może coś więcej nawet niż spuścizna literacka; są kluczem do kolejnych drzwi, za którymi staje prawdziwsza postać Czesława Miłosza. Marek Skwarnicki – znakomity pisarz i tłumacz z kręgów katolickich, w okresie komunistycznym będących enklawą wolności – od ponad pół wieku przyjaźnił się z Czesławem Miłoszem. Jego wspomnienia ukazują całą epokę, w której zapisali się bohaterowie tej książki. Obszernie cytowana korespondencja Miłosza ujawnia wiele jego osobistych sympatii (lub antypatii) oraz rozterki duchowe

wielkiego artysty. Marek Skwarnicki towarzyszył mu także w ostatnim czasie, gdy zmagał się on ze śmiertelną chorobą. Wielkim walorem książki są dokumentalne, nieznane fotografie (ponad 60!) m.in. brata Noblisty, Andrzeja oraz Adama Bujaka.

Zdaniem prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Aleksandra Fiuta książka Marka Skwarnickiego to „książka wyjątkowa, stanowiąca zapis przyjaźni starego poety z młodym poetą".

„Ten *Mój Miłosz* powstał z mojego przywiązania do niego, które było wcześniejsze niż poznanie osobiste" – powiedział Marek Skwarnicki, opowiadając o swojej wczesnej fascynacji wierszami Czesława Miłosza z tomu „Ocalenie". Jak podkreślił, fascynacja ta miała wsparcie w jego przekonaniu o podobieństwie doświadczeń.

Kolejnym etapem znajomości było związanie się Marka Skwarnickiego z „Tygodnikiem Powszechnym", co sprawiło, że Czesław Miłosz zaczął czytać jego teksty. Dopiero znacznie później, po wymianie listów, doszło do osobistego spotkania obu twórców.

Jak przyznał autor, bezpośrednim impulsem do napisania książki był fakt, że natknął się na informację w Internecie, że jego listy do Miłosza sam poeta zdeponował w archiwum na uniwersytecie w Yale.

„Kiedy po ukończeniu książki spytałem go (Miłosza), jak by określił jej charakter, powiedział: *To jest opowieść o przyjaźni w trudnych czasach starego pisarza z młodszym*” (Marek Skwarnicki w pierwszym rozdziale swojej książki).

Marek Skwarnicki zmarł w Krakowie w 2013 roku.

W kawiarni, gdzie niegdyś grano jazz



Cafe Neringa w Wilnie

Czas wchodzi do Wilna poprzez drzwi kawiarni.

Brodski “Café Neringa”.

Romuald Mieczkowski

Przelewa się wciąż ta sama fontanna w foyer „Neringi”. Od lat nie zmienił się wystrój wnętrz. Dwie sale. Ten sam przeszklony sufit, na ścianach pseudoludowe freski z drewnianą boazerią, trochę wygodniejsze krzesła. Na scenie fortepian. Dawni bywalcy

restauracji, którzy dziś przypadkowo tu zawędrują w poszukiwaniu swej młodości, mają wrażenie, że za chwile wyjdzie Ganelin, żeby w towarzystwie swego tria pograć standardy jazzowe. Jego popisy oklaskiwać będzie Venclova, przebywający gościnnie w Wilnie akurat Brodski, a wraz z nimi cała ta pstra cyganeria, która stale dawała drobne łapówki odźwiernym, żeby tu trafić…

Wspominam atmosferę sprzed trzydziestu lat, kiedy zacząłem preferować to miejsce nad innymi, jak ubiegaliśmy się o względy „cerbera" albo inaczej „bramkarza", dając mu składkowego rubla – w nadziei, że zaliczy nas w poczet stałych bywalców – abyśmy jako wybrani, szpanując, mogli przejść przez szpaler oczekujących w kolejce w duszne i słotne wieczory na wejście, jako część owej cyganerii, która zostanie uczestnikami i świadkami kawiarnianego spektaklu, a potem będzie szczycić się, kogo akurat poznała.

A poznałem tu niemało osób – dziennikarzy, dzisiejszych asów i całkiem zapomnianych, pisarzy i poetów, malarzy, muzyków, niedocenionych artystów i prawdziwe sławy. Jest to jednak temat na inną opowieść. Często taka znajomość kosztowała, bo wypadało fundnąć ze stypendium, a potem ze skromnej pensji, ale jakoś starczyło na kolejne przyjście…

A więc grano tu jazz. Przy stolikach – faceci, dziwacznie jak na

tamte ponure czasy ubrani, długowłosi, w swych pierwszych dżinsach marki „Odra”, szczęśliwcy w firmowych, najczęściej też *via* Polska, w skórzanych kurtkach i w żółtych lub czerwonych skarpetkach, ale i o wyglądzie poważnych profesorów, w garniturach i przy krawatach, choć byli też – rzecz nie do pomyślenia – światowcy w apaszkach! Intelektualistki (czy takie w ogóle chodziły do kawiarni?) i śmiejące się studentki artystycznych uczelni w minispódniczkach, te „jazzowe” – też w dżinsach. Nie tańczono tu, chyba przy szczególnych okazjach, gdy w głowie szumiało wino…

Kuchnia była tu tradycyjnie dobra. Podobno od samych początków, kiedy w końcu lat pięćdziesiątych, w dobie „odwilży”, zbudowano pierwszy w mieście po wojnie współczesny gmach hotelu i kawiarni. Firmowym daniem „Neringi” były kotlety „po kijowsku”, coś w rodzaju *de volaille* z drobiu w tłuszczu. Nikt nie wie, dlaczego nazwano je „po kijowsku”, ale taki jadłospis był zatwierdzony na cały Sojuz, z tym, że gdzie indziej z braku surowca przeważały pierożki z kapustą. Popularnością cieszyła się sałatka „stołeczna”. Ta nazwa była nieporozumieniem. Kiedy z jakiejś okazji zaprowadziłem tu rodziców, powiedzieli – jakaż ona „stołeczna”, to zwykła, domowa, tylko gorsza i bardziej „upiększona” sałatka, z kawałeczkami kiełbasy, gotowanymi ziemniakami „w mundurach”, a wszystko pokrajane w kwadraciki, plus inne niewymyślne socjalistyczne dodatki. Ale sałatka ta miała powodzenie: była tania.

Piło się w „Nerindze” raczej wytrawne trunki, wszak była to „inteligencka” knajpa – głównie wina i koniaki. Prócz mołdawskich i z republik sowieckiego Zakaukazia węgierską – „byczą” i „niedźwiedzią krew”, ale i rizlingi, były delikatne słodkie wina rumuńskie, popularnością cieszyła się bułgarska „Gamza”. Był czas, że nie podawano jej w butelkach – okrągłych bańkach, lecz „dla podniesienia kultury picia” w kieliszkach, jeśli się nie mylę – po 38 kopiejek za setkę. Dla wygody towarzystwo zamawiało od razu z dwadzieścia-trzydzieści kolejek… Kelner był wielkim panem, ciągle go trzeba było nagabywać, łapać, kiedy prześlizgiwał się między stolikami, a on ciągle udawał, że nie widzi gościa. Prawda, w „Nerindze” pracowały kelnerki, większość których znaliśmy po imieniu. Wśród bułgarskich win było też „Caberne” z goryczą korka… Kto wolał coś mocniejszego, zamawiał rum kubański. Były „etapy” egipskiej anyżówki, arabskich rumów, portugalskiego porta. Szampan raczej sowiecki, wódka – na dalszym planie i raczej wytrawna, choć kto chciał „pod śledzika” napić się czystej, zawsze ją dostał.

Fortepian przywołuje wspomnienia, a tymczasem z taśmy dolatują dźwięki jakiejś orkiestry – może Paula Mauriata, może Jamesa Lasta. Sentymentalne i wiecznie zielone przeboje, wyłapuję z tego „Strangers in The Night”, „Spanish Eyes”, „Love Me Tender”. Są „Parasolki z Cherbourga”, „Love Story”. Muzyczka płynie dyskretnie, jak przelewająca się w głębi fontanna, można sobie pogadać. Jadłospis dziś znacznie grubszy

niż kiedyś, ale z dawnych potraw niewiele, chyba tylko „karbonat” czyli kotlet schabowy. Niektóre nazwy stały się politycznie niepoprawne, próżno więc prosić o dawny kotlet po kijowsku, wódkę moskiewską czy szaszłyk gruziński. Dla gościa z Ameryki z potraw lokalnych zamawiam chłodnik i cepeliny.

Jest ich nie za wiele. Przeważają raczej „wszędobylskie” dania jak befsztyk i *boeuf Stroganov*, dużo zagranicznych nazw, z których trudno się zorientować, co się pod nimi kryje. Na deser – truskawki w cukrze, lodów zabrakło. Aż 60 porcji pochłonęła tuż przed nami grupa młodych ludzi z Danii.

Potrawy smakowały gościowi, dawnemu wilniukowi, który w międzyczasie wspominał przedwojenną gastronomię Wilna. „Tylko jakoś tu smutno” – zauważył. Rzeczywiście, światła mało, wszyscy tacy poważni, nawet młodzi ludzie, za sąsiednim stołem chłopak z dziewczyną, obydwoje jak „ziemię sprzedawszy”. Gość przywołał wspomnienia, jak to bywało wesoło w „Zaciszu”, „Strallu” – Białym, Zielonym i Czerwonym, co się działo w „Literackiej”. Ja przywołałem swoje wspomnienia odległe o pokolenie. Przytaknąłem – rzeczywiście, nie jest wesoło.

A „Neringa” znalazła kolejne swe wcielenie – jako część składowa „Scandic Hotelu”.



Cafe Neringa w Wilnie

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2004 r.

Szczęście w Wilnie



Zygmunt Vogel, Ulica w Wilnie.
XIX w. Muzeum Narodowe, Kraków.

> **Wileńska karta w twórczości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.**

Romuald Mieczkowski

Słowa te nawiązują do poezji Gałczyńskiego, a mianowicie do jego wileńskiej karty w twórczości. Kiedy mówimy o Wilnie

literackim, najczęściej nie w sposób uniknąć pewnego stereotypu, jaki się zamyka w klasycznej klamrze historii literatury polskiej z etapem wileńskim. Tę klamrę tworzą dwa wspaniałe „M”: Mickiewicz i Miłosz. Przy okazji przypominamy innych twórców, pochodzących z tej ziemi, bądź dawnych kresów. W niepamięć jednak idą ci twórcy, którzy byli tu „przybyszami”. A przecież dali się zauroczyć tej Ziemi, poświęcili jej piękne karty swojej twórczości!

Gałczyński do Wilna przyjechał w roku 1934, miał zamiar tu pozostać z rodziną na zawsze. Ściągając swą żonę – *srebrną Natalię,* w postaci zaproszenia wysłał jej wiersz pt. *Szczęście w Wilnie,* wydrukowany po raz pierwszy w „Słowie” Stanisława Cat Mackiewicza. Potem stale drukował i w innych pismach wileńskich – w „Żagarach”, dodatku do wspomnianego tytułu, w „Środach Literackich”, „Kurierze Wileńskim”. To Gałczyńskiemu zawdzięczamy romantyczną, pomarańczowo-zieloną aurę miasta, pełną zaczarowanych dorożek, *„płynących w mglistość”,* z Gerwazeńkiem i Protazeńkiem, strażnikami mitu grodu nad Wilią.

Gałczyńscy mieszkali na Zarzeczu, przy ul. Młynowej 2, tuż przy dzisiejszym placu z pomnikiem Anioła Zarzecza, przy *„Wilence, rzeczce małej, swarliwej, / łkającej czarno, ciemno, po rosyjsku”.* Innym razem o niej napisze: *„Płynie Wilenka-rzeczka, księżyc w rzeczce jak świeczka.”* Zastali przychylną atmosferę, Gałczyński

otrzymał wiele propozycji współpracy, w Celi Konrada uczestniczył w wieczorach literackich, niestety, jak pisze w *Albumie Wileńskie* Stanisław Lorentz, nie udała się Środa Literacka z poetą, który się opóźnił bardzo, a gdy już przyszedł, nie był wcale w stanie czytać wierszy…



Zygmunt Vogel, Wilno. Kaplica w Ostrej Bramie. Biblioteka Jagiellońska w Krakowie.

Codziennie wędrował autor *Zielonej Gęsi* swoimi dróżkami, bądź przez Ogród Bernardyński, Plac Katedralny do kawiarni „Literackiej”, bądź do Oddziału Wileńskiego Związku Literatów

Polskich na Ostrobramskiej 9, bądź do Rozgłośni Polskiego Radia. Spotykał się z wieloma Wilnianami, rozmawiał, obserwował, pisał, również sporo dla „Smorgonii", radiowego kabaretu satyrycznego w Wilnie – cotygodniowy felieton. Dla Rozgłośni Wileńskiej napisał słuchowisko *Taniec elfów* – satyrę na stosunki szkolne, której tekst zaginął.

W dodatku literackim do „Kuriera Wileńskiego", wydanego na prima aprilis – 1 kwietnia 1935 roku pod redakcją Adolfa Pirmasa, a pod tym pseudonimem wydrukowali swe satyryczne wiersze Teodor Bujnicki, Jan Huszcza, Czesław Miłosz, Jerzy Putrament, Aleksander Rymkiewicz i Jerzy Zagórski, umieszczono też równolegle wiersz pt. *Depresja wileńska,* stylizowany pod gwarę wileńską, którego autorem był niejaki Karakuliambro. Pod tym pseudonimem krył się Gałczyński.

Tak inne od miast Rzeczypospolitej, ze swoją bogatą architekturą, różnojęzyczną mową ludzką, Wilno Gałczyńskiemu nie mogło nie dać wiele wspaniałego natchnienia. Wiersze otrzymały tu wiele ciepła, zanurzanego w otoczce tajemniczości, szeptanej słowami wielkiej miłości do niedawno poślubionej żony.

Kryło jednak Wilno i pewną zagadkę, która często zostawała nieodgadnięta dla ludzi tu przybywających. Otóż co sprawia, że magiczności miasta bywa za mało, żeby tu pozostać, żeby „wżyć

się”, żeby nie powstawały nieporozumienia z „tutejszymi”. Czyżby trzeba tu się urodzić, aby rozumieć sedno tej ziemi? Gałczyński podzielił los Witolda Hulewicza – nie „znalazł się” w tym mieście i po nieudanych próbach osiągnięcia stabilizacji życiowej i przełamania kryzysu materialnego, po dwóch latach zamieszkania na Zarzeczu, w roku 1936 opuścił Wilno.

Napisał o mieście wiele pięknych wierszy, że wymienię te, które mają przymiotnik „wileński” bądź nazwę miasta w tytule. Prócz *Szczęścia w Wilnie* są to: *Elegie wileńskie, Noc w Wilnie, Wilno, ulica Wileńska, Wileńskie imbroglio.* Gałczyński uwiecznił ulice – Młynową, Szklaną, Gaona, Mylną, Podwójną, a szczególnie Niemiecką, która dla niego była jedną z najbardziej fascynujących ulic w mieście. W wierszach przywołuje często Mickiewicza, utrwalił też ludzi sobie współczesnych – m. in. Henryka Kunę, Henryka Dembińskiego, Iwo Jaworskiego, Malfreda Kridla, Józefa Maślińskiego.

Z wędrówek po Wileńszczyźnie powstał wiersz *Duchy w Ornianach, czyli Prolog.* Orniany to wówczas majątek męża Hanki Ordonównej (Tyszkiewiczowej), w którym Gałczyńscy kilkakrotnie gościli. Upłynęło im tu lato 1935 roku – od połowy czerwca do połowy września. Poeta napisał dla pieśniarki program estradowy, teksty do melodii angielskich i francuskich. Niezwykle popularna artystka miała w swym repertuarze piosenki *Gałązka wiśni* i *Szafirowa romanca,* w jej stałym

repertuarze były *Buty szewca Szymona,* do których teksty napisał właśnie Gałczyński.

W ciągu dwóch lat powstało około 60 utworów. Już po tym, jak Gałczyńscy przenieśli się do Warszawy i zamieszkali w Aninie, napisał nie tyle Wilnu, co sobie gorzki wiersz pt. *Wciąż uciekamy,* choć przed dwoma laty była to szczęśliwa „Farlandia" (od angielskich słów *far land* – daleki kraj), zaś 26 kwietnia 1936 roku tu na świat przyszła Kira. To rozstanie dojrzewało wcześniej, w wierszu, napisanym w tymże roku, poeta Natalii miał na okarynie zagwizdać *„o naszym wielkim bólu w małym Wilnie".* Podobno nie wszystkim podobało się, że Gałczyński „wyśmiewa" wileńską polszczyznę, jak odebrali niektórzy *Piosenki naczelnika wydziału grobownictwa.* Nie mogły się też podobać wypowiedzi poety, że Wilno ma tak dalece charakter rosyjskiej prowincji, iż wydaje się, jakby tu za chwilę miał zjechać rewizor…

Miasto będzie wspominać w latach późniejszych – m. in. w *„Jubileuszowej" rozmowie z Kirą,* a w 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny stwierdzi: *„A zachód jak witraż burguncki / roztłukł się już nad Wilnem."*

Ale – jak już wspominałem – Gałczyński nie tylko w Wilnie pisał wiersze. Powstało niemało bardzo ciekawych felietonów, przedstawiających specyfikę miasta i jego mieszkańców,

napisanych z werwą, barwnie i z humorem. Szkoda, że większość z nich zaginęła, głównie w redakcji warszawskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, który z większego cyklu wydrukował tylko trzy utwory. Są to *Wileńska jesień, Humpty-Dumpty, Sekta „Mazaro” zbiera na Gwiazdkę dla dzieci*. Z „wileńkich” rzeczy odnotować należy też *„Ze czcią o Tobie mówimy, Wieszczu!”* i szczególnie *Serdeczności wileńskie.* Ten ostatni felieton zaczyna się słowami:

„W dalekim cudacznym Wilnie – ludzie serdeczni. Co chwila słyszy się: – Kochanieńki, gołąbko, miłość uczyń, na herbatkę przyjdź! Z pierogami!

Ludność mówi po polsku z rosyjska, po rosyjsku z polska, na dobrą sprawę sam czort nie wie, o co tym ludziom chodzi. We mgle dusze zgubili. Bełkocą. Serdeczność za to niesłychana. Oczywiście za serdeczność trzeba płacić serdecznością. Gorzej tylko, gdy np. ma się mieszkanie z wanną.”

Gdzie indziej czytamy:



Zygmunt Vogel, Kościół Misjonarzy w Wilnie. Muzeum Narodowe, Kraków.

„Magia słów: Rzeczywiście jest zmierzch wieczorny nad Wilnem. Powinienem zapalić lampę, ale jakoś – nie chce się. Otwieram okno na tę cudowną jesień 1934… Balladami o romansami pachnie… Po tych ulicach chodził… Przystawał… Zamyślał się… Ucho natężał ciekawie… Chłopak zadziorny. Tu w Wilnie nad jego czułymi wierszami płakali najprostsi. A przecież był poetą <<awangardy>>. Jakie to dziwne. A jakie proste!”

Klimat wileński świetnie też przedstawiony jest w przezabawnym felietonie *Humpty-Dumpty:*

„Teoria i praktyka pojedynków wileńskich (po francusku: les duels vilains) jest zasadniczo taka sama jak i gdzie indziej, Z tą różnicą, że w Wilnie pojedynki odbywają się nieomal co tydzień. Zawsze przecie znajdzie się zagadnienie, którego nie sposób rozwiązać inaczej. Np. pan A. powie poufnie o panu B., że pan B. nie jest intelektualistą. Oczywiście w osobie pana B. cały kraj czuje się dotknięty do żywego. I naturalnie sprawa honorowa, humpty-dumpty.”

Vilniana Gałczyńskiego są bardzo różnorodne. Obraz życia w mieście maluje człowiek niejako bezstronny, wrażliwy i wykształcony, mający skale porównawczą bycia w niejednym miejscu. Po przeczytaniu felietonów wyłania się obraz miasta „z charakterem", pełen kolorytu, harmonii, ale i sprzeczności. Pełen też niezwykłego piękna, jakby to była kraina, stworzona dla zakochanych i artystów…

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" z Toronto, 2003 r.